
ELŻBIETA SMUŁKOWA

**W STEPACH PÓŁNOCNEGO KAUKAZU.
BAŁKA, CZYLI PARÓW**

Z Tomska wiosną roku 1944 przewieziono polskich Sybiraków zorganizowanym transportem¹ na północny Kaukaz: Krasnodarskij Kraj, rejon Armawir, miejscowość Sowietuskaja Stanica, w której mieściła się centrala dużego sowchozu zbożowego *Urupskij Siemsowchoz*, rozmieszczającego pracowników w dwóch dodatkowych oddzieleniach (osadach pracowniczych). Myśmy trafiły do II. oddzielenia, na tzw. bałkę. Poniżej postaram się nakreślić jeden z pierwszych zapamiętanych obrazów.

Jazda przez równy monotony step bez żadnych osiedli. Na lewo od drogi w dużym oddaleniu mgliście zarysowujący się szczyt majestatycznej kaukaskiej góry Elbrus, który przy dobrej widoczności będzie nam towarzyszyć aż do końca pobytu. W pewnym momencie dość gwałtowny spadek drogi i w dole roztaczająca się przed nami osada: na pierwszym planie dwa długie baraki mieszkalne, powyżej jednego z nich kilka parterowych małych zabudowań (może 3-4) i ponownie wznosząca się stopniowo powierzchnia, którą na wzniesieniu zamyka wielki spichlerz – ambar, a dość daleko od niego, na prawo od baraków duża stajnia dla koni i bydła. Osada z lewej elbrusowej strony oddzielona jest od stepu dość długim pasmem krzewów akacjowych i to wszystko. Obie z Matką zostajemy umieszczone w jednym z tych małych domów. Jest to osiedlowa dwuizbowa kantora sowchozowa (biuro), która jedną ze swoich izb oddaje do użytku nowo przywiezionym robotnikom. W sąsiednim domku jest osiedlowy sklepik, a poniżej szkółka, służąca sezonowo jako noclegownia dla przyjezdnych mechaników, np. traktorzystów i kombajnistów. W naszej izbie jest jeszcze pani Wala Marszałkowa z córką, mniej więcej moją rówieśnicą i pani Kowalska z synkiem, w wieku mojej siostry. Okazuje się, że w tym domu niema na czym gotować. Na lewo od wejścia, a przed pasmem krzewów akacjowych budujemy z kilku znalezionych kamieni, czy cegieł, palenisko. Opałem jest stepowy *burian* „grube wysokie ostry”, które szybko podgrzewają wodę na jakiś napój. Do czasu przeniesienia się na zimę do jednego z baraków, bardziej przystosowanych do życia, całe lato w ten sposób gotowałyśmy sobie pożywienie. A była to głównie kukurydza, lub mamałyga, czyli kasza z dojrzałej już suchej kukurydzy odpowiednio zmielonej.

¹ Nie mam danych o tym kto ten transport organizował i dlaczego. Podejrzewam, że chodziło o brak siły roboczej na Kubani, a może też wobec rysującej się potrzeby zwrotu tej ludności do Polski, uznano że trzeba ją trochę odkarmić i wzmocnić na zdrowiu przed opuszczeniem Kraju Rad i „wiecznej szczęśliwości”.

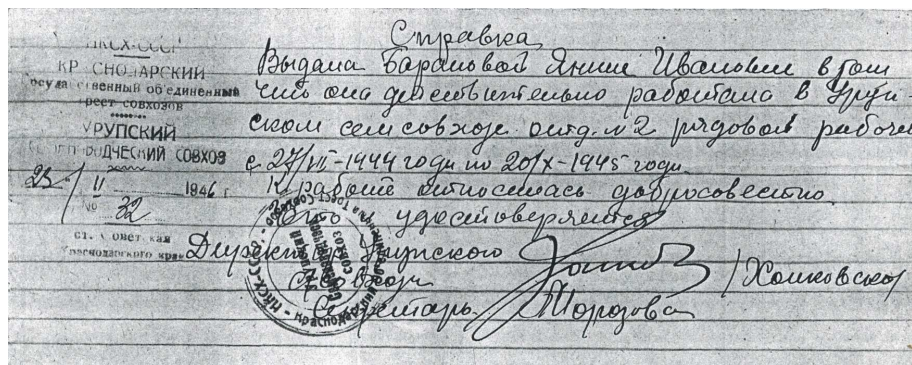
A gdy dojrzała już złocista pszenica i kto żyw był zatrudniony przy jej zbiorze, suszeniu i przechowywaniu cennego ziarna siewnego (sowchoz specjalizował się w uprawie pszenicy na siew) w ruch poszły tzw. *ruszki*, czyli swoiste rzemieślnicze młynki: około 20 cm rury z przymocowaną na obręczy rączką, osadzonej na stożkowatym z ostrymi kantami trzpieniu, umocowanym na dość szerokiej desce, na której siedziała osoba mieląca ziarno wsypywane do tej rury. W ten sposób otrzymywałyśmy pszeną kaszę i trochę mąki na placuszki i podpłomyki. Ilość chleba, który można było kupić co kilka dni w osiedlowym sklepie była podobna do tej zesłańczej stawki, którą znałyśmy z Syberii: 400 gramów dla pracującego i po 300/250 dla osób przez niego utrzymywanych. Z tym, że tu często przywożono chleb z mąki kukurydzianej. Męczyła nas trochę ta kukurydziana monotonia, ale nigdy nie byłyśmy głodne tak, jak to było w Tomsku. Były tu też inne specjały żywieniowe. Duża uprawa słoneczników, których ziarenka pysznie uzupełniały dietę, a po ich wytłoczeniu otrzymywało się makuch i stosunkowo nie drogo można było nabyć olej słonecznikowy. A druga prawdziwa atrakcja to bachcz`a, czyli uprawa arbuzów i melonów, wprawdzie pilnie strzeżona, ale po zebraniu podstawowych dorodnych plonów pozwalano, zwłaszcza dzieciom, zbierać drobne pozostawione owoce, z czego pilnie korzystaliśmy. Były soczyste i słodkie. Z tego czasu pochodzi też moja umiejętność zaprzęgania wołów i powożenia nimi: cab – cab`e; cab – cab`e! Na bachczę było daleko i korzystało się w miarę możliwości z wozu zaprzężonego parą dostojnych wołów w jarzmie.

Jedno z najcięższych doświadczeń tego okresu było związane z epidemią tyfusu, która tam wybuchła w środku lata. Naprzód zachorowali młodzi. Miejscowego kilkunastu letniego chłopaka zabrano do szpitala, z którego wprawdzie wrócił, ale poważnie umysłowo upośledzony. Bałyśmy się go. Mówiono o nim „ten wariat”. Potem zachorowała śpiąca obok mnie na sienniku córeczka pani Wali. Opiekowałam się nią, gdy matka była w pracy. Nie od razu poznano się na chorobie. Żniwa były w toku. Pani Wala starała się o konie na zawiezenie chorej do szpitala – były potrzebne do wożenia pszenicy, a kiedy wreszcie pojechały – dziecko zmarło i gdzieś tam w Centrali zostało pochowane. Pani Wala wróciła sama. Można sobie wyobrazić jej rozpacz!

Ciężko zachorowała nasza Mama. Sytuacja była krytyczna; przygotowywała nas na swoje odejście; czuwała przy niej i przy nas jedna z naszych Polek, z zawodu pielęgniarka; pamiętam, że długi czas z uporem rozcierała Matce zimne siniejące stopy i głośno modliła się razem z nami. Niestety nie pamiętam nawet imienia tej Pani, choć widzę ją przy Mamie dokładnie! Ślubowałam wówczas Bogu dziękczynne leżenie krzyżem w kościele za uzdrowienie Matki! I Mama wróciła po tym kryzysie do zdrowia. Spełnienie tej obietnicy było bardzo psychicznie trudne. Na Pomorzu, gdzie znalazłyśmy się po wojnie, nie było widocznie takiego zwyczaju, który pamiętałam ze Lwowa. I kiedy po wyjściu ludzi z kościoła z wielkim samozaparciem spełniłam swoją obietnicę i zaczęłam się gorliwie modlić podszedł do mnie jakiś mężczyzna (ksiądz?) i w dość ostrych słowach kazał mi natychmiast opuścić kościół. A Mama żyła jeszcze wiele lat!

Ale wróćmy na bałkę. O wielu jeszcze sprawach-obrazach, ilustrujących życie wywiezionych z ojczyzny Polaków, można by pisać. Nie bez znaczenia dla moich wspomnień jest to, że ten trzeci etap naszych doświadczeń był

równocześnie okresem dojrzewania dziewczynki, którą wówczas byłam. Miałam już 13/14 lat. Ciągnęło mnie do spotykającej się wieczorami i śpiewającej młodzieży. Mama na to nie pozwalała. Musiałam szybko, o określonej porze wracać, nie rozumiałam wówczas dlaczego?



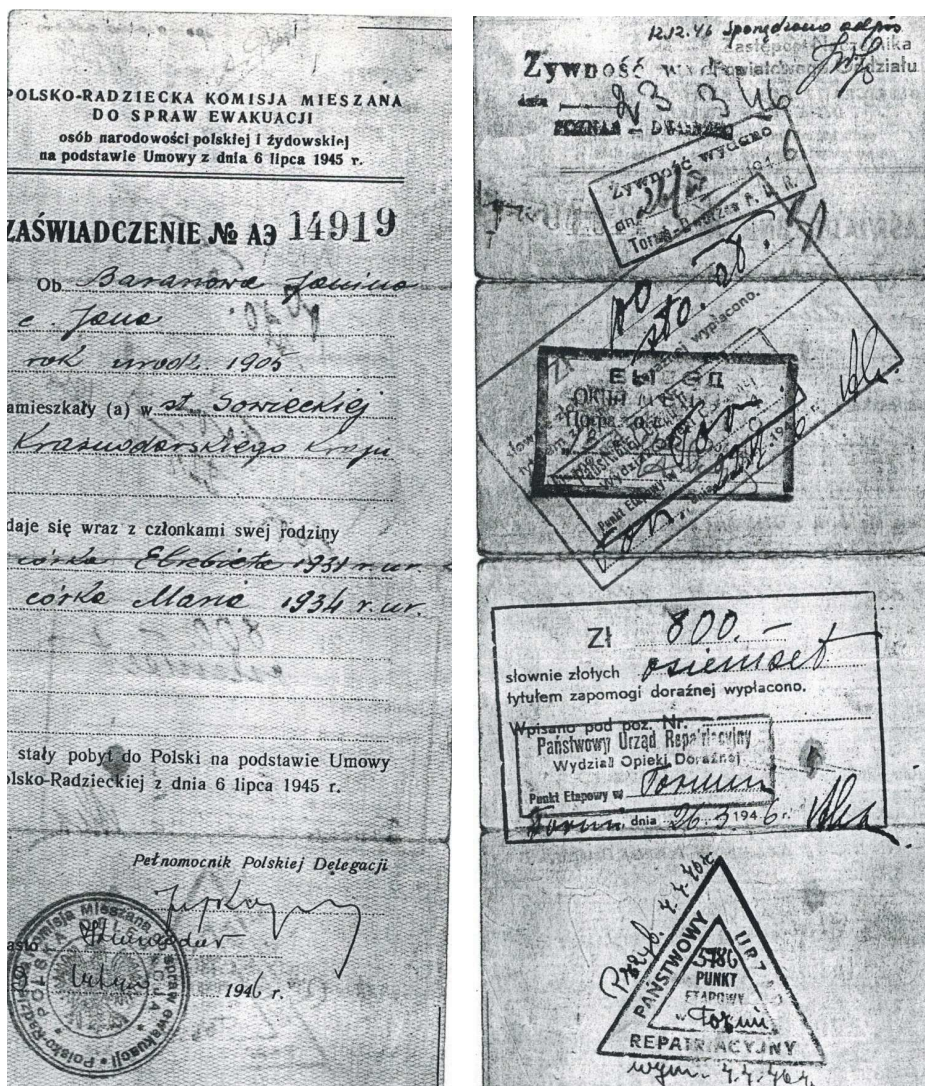
Zaświadczenie o pracy Mamy w sowchozie wydane 23 lutego 1946 r.

Nie mogłam już się tam uczyć. Nauczycielki pracowały z dziećmi klas 1-4 w 2 grupach. Ja w Tomsku skończyłam już 5-tą. Przez jakiś czas pasłam bydło na koniu. Nie czułam się pewnie na koniu, bałam się byków. Później dość długo byłam w spichrzu wagową. Ziarno podczas żniw zsypywane na przygotowanych w stepie tokach (rodzaj klepiska) przerzucane łopatami, aby je dokładnie przesuszyć (w tym klimacie w lecie nie było deszczu) zwożono bez dokładnych pomiarów do dużego spichlerza na osiedlu. Tam dopiero odbywało się ważenie w dużych drewnianych skrzyniach z uchwytyami, które przynosili i stawiali na wadze dwaj mężczyźni. Wykorzystywano do tego grupę jeńców niemieckich, kwaterowanych w rzeczonyj stajni. Byli brudni, obdarci i zapewne głodni (odwracałam głowę, gdy wrzucali sobie garściami ziarno do ust), ale do pracy szli czwórkami z dziarskim żołnierskim śpiewem. Robili na mnie przynębiające wrażenie. W spichrzu oprócz mnie był jeszcze surowy magazynier, który od czasu do czasu zbliżał się do wagi i bojąc się widocznie w przyszłości o własną skórę, groźnym szeptem rozkazywał: „na karmany, na karmany ostawl’aj”, to znaczy zostawiaj, co którąś skrzynię na rozkradanie (na kieszenie – ros. karman ‘kieszzeń’), nie zapisuj wszystkiego.

Tajemnicą poliszynela było, że znaczna większość, jeżeli nie wszyscy zatrudnieni przy zbożu uzupełniali nim rodzinne braki żywieniowe. Nie robiła tego nasza Mama, było to poniżej jej godności, ale ja tak – z premedytacją nosiłam ziarno do domu w butach i w bieliźnie. Miałam żal do Mamy, że tego nie robi. Traktowałam to jak małe zadośćuczynienie za krzywdę jaką nam wyrządzili sowietci.

Jesienią miałyśmy możliwość przeniesienia się do jednego z dwóch mieszkalnych baraków. Dostałyśmy samodzielny pokój z płytą kuchenną w krańcowym podjeździe, gdzie były jeszcze w takich izbach trzy inne rodziny. Zaczęło się życie sąsiedzkie i poznawanie nowych dla mnie trudnych problemów ludzkich. Jedną z naszych sąsiadek była miejscowa młoda przystojna kobieta z dwójką małych dzieci. Jej mąż był na froncie.

Od pewnego czasu zamieszkał z nimi młody urodziwy lejtnant, dozorujący jeńców niemieckich; chodził w eleganckim czystym mundurze i był dla nas miły. Czułam się jednak dziwnie, coś tu było nie w porządku. Po jakimś czasie, gdy wszyscy dorośli byli w pracy, przywołała mnie inna sąsiadka, Polka, matka nieco młodszego Adasia. Leżała w kałuży krwi. Straszny widok, udało się odprawić ją do szpitala, gdzie niestety zmarła. W związku z tym po raz pierwszy usłyszałam słowo *ab`ort*. Adasia nie udało się zatrzymać w naszym polskim środowisku. Został przez władze sowchozu odprawiony do domu dziecka. Nie wiem co się z nim dalej działo.



Nasz dokument repatriacyjny (awers i rewers) wydany w lutym 1946 r. przez Polsko-Radziecką Komisję Mieszaną do Spraw Ewakuacji.

Na bałce poznałam prawosławny zwyczaj cmentarny – radaun`icau// rad`unicau, obserwowany później wiele lat po wojnie na Białorusi, stąd i przytoczenie nazwy białoruskiej tego święta, bo miejscowej nie pamiętam. Na wysokim dość stromym zboczu bałki chowano umarłych. Było tam może kilkanaście, może więcej małych porośniętych trawą mogiłek, na niektórych niewielkie krzyże. Miejsce to ożywało na wiosnę. Mieszkańcy szli tam z jedzeniem i wódką, jedli, pili i śpiewali; wspominali swoich umarłych; pozostawiali na grobach pisanki i pożywienie.

Warto jeszcze powiedzieć, że do palenia w kuchni (pod płytą kuchenną) służyły grube suche łodygi stepowego burianu (rodzaj dużych ostów). Do nas z Marylą należało, aby opał był zawsze przygotowany. Chodziłyśmy w step z wyostrzonym sierpem i sznurem do związania naciętej wiązanki. Przy tej okazji miałam niegroźne spotkanie ze stepowym wilkiem. Schylona odgarnęłam kępkę ostów do ścięcia i spotkałam się dosłownie „twarzą w twarz” ze śliczną szarą mordką młodego wilczka. Nie umiem teraz ocenić, kto był bardziej przestraszony, ja czy on. W każdym razie nie rzucił się na mnie, gdy uciekałam. W zimie pewnie byłoby gorzej. Przejmujące wycie wilków, zwłaszcza w nocy księżycowe nieraz uniemożliwiało spanie i nasuwało ponure myśli.

Na bałce rosła jednak nadzieja na powrót do Polski. Gdy Lwów został zajęty ponownie przez Armię Czerwoną, Matce udało się nawiązać kontakt listowy z najmłodszą siostrą Krystyną, która postarała się dla nas o wyzew, czyli oficjalny wniosek-zaproszenie na nasz przyjazd do niej do Lwowa. Logistycznie była to dla nas bardzo trudna sprawa. A coraz częściej dochodziły do nas słuchy o możliwości utraty Lwowa przez Polskę i równocześnie o staraniach zorganizowania państwowego transportu do Polski dla wywiezionych obywateli polskich do ZSRR. I rzeczywiście taka chwila nadeszła.

Kazano nam się spakować i zawieziono nas do Centrali Sowchozu w Sowietskiej Stanicy. Stamtąd zapamiętałam dwa przeżycia: obrzydzenie i strach przed ogromną ilością jadowitych żmij na kamienistym brzegu rzeki i żal, że jedna z najmilszych dla mnie Polek, organizująca wyjazd grupowy, zostaje w sowchozie, nie wraca z nami. Dlaczego? Później Mama mi wyjaśniła: związała się z kimś miejscowym, była w ciąży. Czy była szczęśliwa?

My wracałyśmy w euforii mimo, że ponownie w wagonach towarowych. Po przekroczeniu granicy polskiej naprawdę byłam przekonana, że niebo jest bardziej niebieskie, a trawa intensywniej zielona. Transport jechał na Ziemię Odzyskaną. Matka z nami oddzieliła się od transportu, aby trafić do Torunia, do swojej siostry Heleny, która jeszcze w 1939 roku wzięła ślub z kolegą ze studiów w Poznaniu i mieszkała w Toruniu. Tam zaczął się dla nas nowy okres życia, bez ojca (upamiętniony w Bykowni pod Kijowem), ale z kochającą Matką, która czczyła jego pamięć i doprowadziła córki do twórczego życia po studiach wyższych. W przemówieniu dziękującym za otrzymanie Krzyża Sybiraków powiedziałam: „te krzyże należały się naszym matkom. To one niosły ciężar zesłania, my miałyśmy w nich osłonę i wsparcie!” Doświadczenie „obcej ziemi” spowodowało, że nigdy nie miałam pokusy skorzystania z propozycji urządzenia sobie życia na emigracji.